Na skraju wielkiego lasu mieszkał ubogi drwal z żoną i dwojgiem dzieci; chłopczyk nazywał się Jaś, a dziewczynka Małgosia. W chacie nie był jedzenia,  gdy drożyzna zapanowała w kraju, brakło im nawet suchego chleba na zaspokojenie głodu. Strapiony drwal drwal długo nie mógł zasnąć wieczorem, więc wzdychając ciężko rzekł do żony:

- Co się z nami stanie? Jak wyżywimy biedne dziadki nasze, gdy sami nie mamy co jeść?

- Trudna rada, mężu - odparła macocha - jutro o świcie musimy wyprowadzić dzieci do lasu, gdzie największa gęstwina; tam zapalimy ogień, damy im po kawałku chleba, potem pójdziemy do swojej roboty, a dzieci pozostawimy własnemu losowi. Oczywiście nie trafią z powrotem do domu i w ten sposób pozbędziemy się ich.

- Nie, żono - odparł drwal - tego nie uczynię. Nie miałbym serca zostawić dzieci w lesie! Dzikie zwierzęta rozszarpały by je przecież.

- O, głupcze - rzekła macocha - inaczej wszak wszyscy czworo umrzemy z głodu, możesz już ciosać deski na trumny! - i tak długo go przekonywała, aż drwal z ciężkim sercem uległ jej namowom.

- A jednak żal mi tych biednych dzieci - rzekł.

Tymczasem dzieci również nie pały, gdyż nie mogły usnąć z głodu, i słyszały wszystko, co macocha mówiła do ojca. Małgosia płakała gorzkimi łzami i rzekła do Jasia:

- Teraz jesteśmy już zgubieni!

- Cicho, Małgosiu - uspokajał ją Jaś - nie martw się, już ja znajdę ratunek!

A gdy rodzice usnęli, wstał, ubrał się i wymknął z domu. Księżyc świecił jasno , a białe kamyki, leżące dokoła domu, błyszczały jak nowe pieniążki. Jaś nazbierał ich , ile tylko mógł zmieścić w kieszeniach. Potem wrócił i rzekł do Małgosi:

- Bądź spokojna, kochana siostrzyczko i śpij beztrosko - po czym położył się także do łóżka.

O świcie, zanim jeszcze słońce wzeszło, stała macocha i zbudziła dzieci:

- Wstawajcie, leniuchy, pójdziemy do lasu po chrust!

Potem dała każdemu po kawałku chleba i rzekła:

- Macie tu chleb na obiad, ale nie zjedzcie wszystkiego od razu, bo więcej nie dostaniecie.

Małgosia schowała chleb pod fartuszek, gdyż Jaś miał w kieszeni kamyki. Po chwili wszyscy czworo ruszyli w las. Gdy uszli kawałek drogi, Jaś pozostawił w tyle patrząc za siebie na domek. Czynił to co pewien czas.

- Jasiu - zapytał ojciec - czemu oglądasz się ciągle za siebie? Pośpiesz się!

- Ach, ojcze - rzekł chłopiec - patrzę na swego białego kota, który siedzi na dachu i chce się ze mną pożegnać.

A macocha na to:

- Głuptasie, to ni twój kotek, to słońce poranne tak błyszczy na kominie.

Ale Jaś nie oglądał się za kotkiem, lecz raz po raz rzucał za siebiebiały kamyczek na drogę.

Kiedy się znaleźli w głębi lasu, rzekł ojciec:

- Nazbierajcie, dzieci, chrustu, rozpalimy ogień, abyście nie zmarzły.

Jaś i Małgosia naznosili chrustu, a gdy rozniecono ognisko i płomienie strzeliły wysoko, macocha rzekła do dzieci:

- Połóżcie się przy ogniu i wypocznijcie, a my pójdziemy głębiej w las narąbać drew. Wracając przyjdziemy po was i razem pójdziemy do domu.

Jaś i Małgosia siedli przy ogniu, a w południe każde zjadło swoją kromkę chleba. A że słyszeli uderzenia siekiery, pewni byli, że ojciec jest w pobliżu. Lecz to nie siekiera była, ale gałąź, którą przywiązał drwal do drzewa i którą wiatr uderzał o drzewo. Po pewnym czasie dzieciom przymknęły się oczy ze znużenia - i zasnęły.

Kiedy wreszcie się obudziły, była już ciemna noc. Małgosia rozpłakała się, mówiąc:

- Jakże się wydostaniemy z lasu?

Ale Jaś pocieszył ją:

- Poczekaj, aż się księżyc ukaże, a wtedy znajdziemy już drogę.

Kiedy zaś księżyc wzeszedł, wziął Jaś siostrzyczkę za rękę i poszedł z nim śladem kamyków, które błyszczały w świetle księżycowym, jak nowiutkie pieniążki i pokazywały im drogę. Szli całą noc, a gdy dzień nastał, doszli do domu ojca. Zapukali do drzwi, a kiedy macocha otworzyła i ujrzała, że byli to Jaś i Małgosia, rzekła:

- Niedobre dzieci,coście robiły tak długo w lesie? Myśleliśmy, że nie chcecie już wracać!

Ale ojciec uradował się, gdyż trapiły do wyrzuty sumienia, że pozostawił dzieci same w lesie.

Wkrótce potem bieda znów zajrzała do chatki drwala, a dzieci usłyszały, jak macocha mówiła w nocy do ojca:

- Znów wszystko zjedzone; mamy jeszcze pól bochenka chleba, a potem co? Musimy pozbyć się dzieci! Zaprowadźmy je głębiej w las, żeby już nie trafiły z powrotem: nie ma innej rady.

Strapił się ojciec i pomyślał: "Lepiej by było, abyśmy się podzielili z dziećmi ostatnim kęsem chleba."

Ale żona nie słuchała jego słów i zburczała go czyniąc mu wyrzuty. Kto mówi A, musi powiedzieć B, i biedny ojciec zgodziwszy się raz, musiał się tym razem zgodzić na żądanie złej macochy.

Lecz dzieci nie spały jeszcze i słyszały całą rozmowę. Gdy rodzice usnęli , wstał Jasio, chcąc znowu nazbierać kamyków, ale zła macocha zamknęła drzwi i Jaś nie mógł wyjść. Pocieszał jednak siostrzyczkę:

- Śpij spokojnie i nie martw się!

Gdy ranek zaświtał, macocha kazała dzieciom wstać. Dała każdemu po kawałku chleba, mniejszym jeszcze niż poprzednim razem. Po drodze pokruszył Jaś chleb w kieszeni, przystanął i rzucił jeden okruszek na ziemię.

- Jasiu, czemu oglądasz się ciągle za siebie? - zapytał ojciec. - Pośpiesz się!

- Oglądam się za gołębiem, który siedzi na dachu i chce się ze mną pożegnać.

- Głuptasie - rzekła macocha - to nie gołąbek, to słońce poranne, tak błyszczy na kominie.

Ale Jaś raz po raz rzucał za siebie okruszki chleba.

Macocha poprowadziła dzieci znacznie głębiej w las, gdzie nigdy jeszcze nie były, kazała im rozpalić wielki ognisko i rzekła:

- Posiedźcie tu, dzieci, a jeśli się zmęczycie, możecie się przespać; my idziemy do lasu rąbać drzewo, a wracając wieczorem wstąpimy tu po was.

W południe podzieliła się Małgosia z Jasiem swoim chlebem, gdyż Jaś swój kawałek rozrzucił po drodze. Potem zasnęli oboje i minął wieczór; ale nikt nie przyszedł po nich. Obudzili się późno w nocy. Jasio pocieszał jak przedtem swoją siostrzyczkę:

- Nie płacz, Małgosiu, gdy księżyc wzejdzie, okruchy, które rozrzuciłem po drodze, wskażą nam drogę do domu.

Ale gdy się księżyc ukazał, nie znalazły dzieci okruchów, gdyż tysiące ptaków, żyjących w lesie i w polu, wydziobały je dawno.

Jaś powtarzał ciągle:

- Nie bój się Małgosiu, znajdziemy jakąś drogę!

Ale nie znaleźli jej. Szli całą noc i cały następny dzień, od rana do wieczora, ale nie mogli znaleźć wyjścia z lasu. Głód począł im dokuczać, gdyż nie jedli nic, prócz kilku znalezionych jagódek. Wreszcie nogi odmówiły im posłuszeństwa i usnęli zmęczeni pod drzewem.

Oto nastał trzeci ranek , odkąd dzieci opuściły dm ojca. Ruszyły znowu w drogę, ale im dalej szły, tym bardziej zagłębiały się w las. Gdyby teraz nie nadeszła pomoc, musiałyby zginąć.

W południe ujrzały pięknego, śnieżnobiałego ptaszka, który siedział na gałęzi i śpiewał tak cudownie, że dzieci stanęły w miejscu, zachwycone.. Kiedy ptaszek skończył piosenkę, rozwinął skrzydełka i pofrunął przed dziećmi, one zaś poszły za nim, aż przyszły przed chatkę, na której dachu usiadł ptaszek. Kiedy się dzieci zbliżyły, ujrzały, że chatka zbudowana była calutka z chleba i pokryta ciastem; szyby zaś były z cukru.

- Choć no tu - rzekł Jaś - teraz możemy się posilić. Ja zjem sobie kawałek dachu, a ty skosztuj może słodkiej szybki.

I chłopczyk wspiął się na palce, ułamał sobie kawałek smacznego dachu, a dziewczynka poczęła chrupać szybę.

Nagle z chatki odezwał się głos:

*- Chrupu, chrupu, chrupu, chrupki,*

*Kto przyszedł do mojej chatki?*

A dzieci odparły:

*- To wiaterek z nieba,*

*Z błękitnego nieba!*

- i jadły dalej. Jaś, któremu zasmakował dach, ułamał sobie spory kawał, a Małgosia wyjęła całą szybę z okna i siadła, chrupiąc ją z apetytem.

Nagle otworzyły się drzwi i ukazała się zgarbiona staruszka, wsparta na kiju. Jaś i Małgosia przerazili się tak bardzo, że upuścili na ziemię, to, co trzymali w rękach, ale staruszka pokiwała głową i rzekła:

- A, to wy, drogie dziadki, kto was tu przyprowadził? Wejdźcie do chatki, nic wam się złego nie stanie.

Wzięła je za ręce i poprowadziła do izby. Dała im mleka z pączków z cukrem, jabłek i orzechów. Potem pościeliła im dwa piękne łóżeczka, a Jaś i Małgosia położyli się spać, myśląc, że są w niebie.

Ale staruszka udawał tylko taką życzliwość, była bowiem złą czarownicą, która czyhała na dzieci i specjalnie zbudowała ten domek z chleba, ciasta i cukru, aby je zwabiać. A gdy się jakieś dziecię dostało w jej moc , zbijała je i zjadała.  Czarownice mają czerwone oczy i źle widzą, ale mają za to doskonały węch, jak zwierzęta i czują, kiedy zbliża się człowiek. Czując w pobliżu Jasia i Małgosię czarownica zachichotała złośliwie i syknęła:

- Mam ich, już mi się nie wymkną!

Raniutko, gdy dzieci spały jeszcze spokojnie, stanęła czarownica nad nimi, spojrzała na ich rumiane policzki i pomyślała: "To dopiero będzie smaczny kąsek!"

Po czym chwyciła Jasia Kościstymi rękami, zaniosła go do chlewka i zamknęła za katowanymi drzwiami. Krzyczał i płakał biedny chłopiec, ale nic mu to nie pomogło. Potem poszła do Małgosi, obudził ją i rzekła:

- Wstawaj, leniuchu, przynieś wody i ugotuj coś dobrego dla swego braciszka. Zamknęłam go w chlewie, trzeba go utuczyć. Gdy już będzie tłusty, zjem go na śniadanie.

Małgosia poczęła płakać rzewnie, ale nic nie pomogło, musiała robić wszystko, co jej czarownica kazała.

Jasiowi dawała teraz czarownica najlepsze jedzenie, Małgosia zaś nie dostawała ani kęska. Co rano szła czarownica do chlewa i wołała:

- Jasiu, Jasiu, wysuń palec, chcę zobaczyć, czy jesteś już dość tłusty!

Ale Jaś wysuwał zamiast palca kostkę, a czarownica, która miała krótki wzrok, dziwiła się ciągle, że Jaś nie tyje wcale.

Kiedy minęły cztery tygodnie, zniecierpliwiła się czarownica i postanowiła dłużej już nie czekać.

- Hejże, Małgosiu - zawołała - nanos mi teraz wody! Jaś nie utyje chyba nigdy, więc muszę go jutro zjeść.

Ach, jak płakała biedna dziewczynka! Łzy aż kapały jej do wiadra, kiedy nosiła wodę!

- Oj, oj, oj! - wołała - Gdybyż nas bodaj pożarły dzikie zwierzęta, przynajmniej zginęlibyśmy razem.

- Nie lamentuj - rzekła starucha - nic ci to nie pomoże.

Raniutko kazała czarownica Małgosi zawiesić nad paleniskiem kocioł  z wodą i rozpalić ogień.

- Najpierw upieczmy chleb - rzekła - już rozpaliłam piec i zarobiłam ciasto.

Pchnęła biedną Małgosię do pieca, z którego buchały już płomienie, i kazała jej wejść do środka, aby się przekonać, czy można już chleb włożyć. Naprawdę zaś chciała zamknąć Małgosię w piecu i upiec, aby ją zjeść.

Ale Małgosia spostrzegła jej zamiar i rzekła:

- Nie wiem, jak wejść do pieca. Jakże się tam dostanę?

- Głupia gąsko - rzekła czarownica - otwór jest dość duży. Widzisz, ja sama mogłabym się nawet zmieścić.

I wsadziła głowę do pieca.

W tej chwili Małgosia popchnęła ją mocno, a gdy czarownica wpadła do pieca, zatrzasnęła za nią drzwiczki i zasunęła rygiel.

- Huhu! - zaczęła wyć zła jędza, ale Małgosia uciekła pozostawiając czarownicę w piecu, gdzie się spaliła.

Sama zaś pobiegła do Jasia, otworzyła chlewik i zawołała:

- Chodź, Jasiu, czarownica nie żyje, jesteśmy uratowani.

Jasio wyskoczył jak ptaszek z klatki. Jakże się dzieci cieszyły, jak się ściskały za szyję i całowały! A ponieważ zła czarownica już nie żyła, weszły do jej izdebki. Ujrzały tam mnóstwo skrzyń z perłami i klejnotami.

- Ach, to ładniejsze jeszcze niż kamyczki - rzekł Jaś i napełnił nimi kieszenie, a Małgosia dodała:

- I ja coś zabiorę do domu - i napełniła fartuszek.

- A teraz pójdziemy - rzekł Jaś - aby jak najszybciej wyjść z tego lasu.

Po kilku godzinach doszły dzieci nad wielką rzekę, a Jaś rzekł:

- Jakże przejdziemy przez rzekę? Nie widzę na niej kładki, ani mostu.

A Małgosia dodała:

- Ani łódki nie ma, ale tam płynie biała kaczka, może ona nam pomoże.

I zawołała:

*- Kaczuszko, kaczusio,*

*Nie ma mostka koło rzeczki,*

*Nie ma nawet łódeczki,*

*Przewieź Jasia z Małgosią!*

Kaczuszka podpłynęła, a Jaś siadł na jej grzbiecie, prosił, aby i Małgosia siadła z nim.

- Nie - odparła dziewczynka - kaczuszce byłoby a ciężko Ja przepłynę później.

Dobra kaczuszka przewiozła ich po kolei, a gdy się znaleźli po drugiej stronie rzeki, las wydał im się znajomy, i wreszcie uradowane dzieci ujrzały z daleka chatkę rodzinną. pobiegły więc szybko i po chwili zawisły na szyi ojca.

Zła macocha nie żyła już, a ojciec trapił się ciągle myślą o dzieciach pozostawionych w lesie. Małgosia wysypała z fartuszka perły i drogie kamienie, które potoczyły się po podłodze, Jaś zaś wyjmował z kieszeni pełne garście klejnotów. Tak więc troski ich skończyły się i w radości żyli wszyscy troje przez długie jeszcze lata.

Koniec bajki dzieci! A tam myszka leci! Kto ją złapie, niech wypuści ją do pięknego ogrodu.